

Od autora: ...

Nawet teraz, gdy leżał bez ruchu, rozciągnięty na nieskazitelnie czystej terakocie podłogi, nie mogła na niego spoglądać bez osłabiającego ją obrzydzenia, które pojawiało się zawsze w jego obecności. Podczas upadku nogawka spodni podwinęła się nieco i obnażyła kawałek białej łydki pokrytej pajęczyną szarawych włosów, żyłak niczym odrażająco skręcona dżdżownica, skarpetki - jak zwykle ciemne, bez najmniejszego załamania.

Ooo, wstrętne. Wstrętne!

I ręka, wygięta kobiecym gestem. Chyba już chłodna i nareszcie sucha.

Obserwowała te ręce połowę życia. Niemęsko miękkie, wilgotne, poruszały sztućcami z namaszczeniem...

Powolnie grzebał w zawartości talerza. Zawsze pozostawiał niedojedzony kawałek ziemniaka, uroczystym ruchem podpychał go widelcem na sam brzeg i gwałtownymi pociągnięciami nosem ogłaszał koniec posiłku.

Co za dźwięk! Kurczyła się w sobie, siłą opanowując odruch wymiotny.

Papierową serwetką wycierał każdy palec z osobna, potem składał ją w skupieniu, sześciokrotnie. Nie do wytrzymania! I odchodził drobnym, drepczącym krokiem do łazienki. Znowu myć ręce.

Pierwszego grudnia, zawsze, bez względu na pogodę zakładał kalesony. Tak musiało być, robił to od dziecka. Ile już razy nacinała gumkę, aby potem, z poczuciem zwycięstwa, wysłuchiwać durnych skarg, gdy po kolejnym praniu oglądał je zdeformowane, już nie na jego wstrętny, kościsty tyłek. Szedł znowu myć ręce. Do diabła! Do diabła!. Brzydził się nawet własnych gaci! Ona brzydziła się nim.

A teraz leży tu jak ochłap, pokurcz taki, w swojej perfekcyjnie wyprasowanej koszuli zaplutej marchewkową papką. Ha, ha, sam ja zapaćkał, gdy, ogłupiały uderzeniami, chciał jeszcze coś powiedzieć. Pewnie to swoje idiotyczne „ależ moja droga”. Ohyda! Ohydaaa!

Chyba się nie domyślał, jak bardzo nim gardziła, już od dawna. Jego zapleśniałymi zasadami nie do podważenia, w więzieniu których przemijało jej życie, skrzekliwym głosem cwane straganiarza. Nie do wiary! Czy siebie nie słyszał, gdy z pozorną obojętnością opowiadał o swoim powodzeniu u kobiet? No nie! Żaloszny pokurcz! Cap! Swinia! Nawet skopać go nie miała ochoty, tej kupy smrodliwego śluzu. Która by go chciała?! Takiego niedołęgę. Która by chciała poczuć lepki, zabi dotyk, a potem godzinami zmywać z siebie odór jego wody po goleniu zmieszanej z wyziewami ciała.

Kurczowo złapała brzeg stołu, w lęku, że zaraz upadnie, kamień w żołądku sunął w kierunku krtani, dusiła się ze wstrętu. A on leżał jak kukła, z dżdżownicą żyłaka na nodze. I te posklejane, zapocone kępki kłaków, i ryżowa szczota pod nosem; idealnie przystrzyżona kreska po raz pierwszy wykrzywiona w idiotycznym grymasie zdziwienia. Wyszczерzał na nią dolne zęby. Ha, niech wyszczerza, niech wszyscy zobaczą! Nie zdążył wydłubać marchewki. Obłeśny zbuk, cap! Niech wszyscy zobaczą!

Oddychała konwulsyjnie. Ach, tak wygląda wolność. Co za ulga. Jeszcze tylko komputer mu rozwalić, wszystkie kalesony won, do zsypu, pamiątki rodzinne, herbowe, won, do zsypu, wykałaczki i Old Spice, i wszystko, czego dotykał!

Drgnęła, wracając do rzeczywistości. Z niechęcią podeszła do kuchenki, musiała jeszcze odcedzić ziemniaki, wszystko co do minuty.

Od strony łazienki słyszała już pociąganie nosem.

Usiadł na swoim krześle, jak zwykle poprawiając trzykrotnym klepieniem poduszkę. I znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w białą serwetkę obok talerza. Używał tylko papierowych, ale tę, z cienkiej bawełny, z monogramem, musiał mieć zawsze pod ręką. Szybko wymieniła ją na nową, idealnie wyprasowaną, sztywną jak deska, ta na stole miała lekko zagięty rąbek. Skinął potakująco głową i czekał, jak zwykle z kamiennym wyrazem twarzy, sztywno wyprostowany. Woń jego wody po goleniu mieszała się obrzydliwie z zapachem gotowanej marchewki.

Podawała zupę. Spuściła oczy, by nie widzieć jego górnej, drgającej jak u królika wargi i bezmyślnego spojrzenia wlepionego w łyżkę. Zrobiło się jej niedobrze, czuła klucie pod skórą i stróżkę potu spływającą szybko po prawym policzku, w skroniach pulsowało. Najchętniej wcisnęłaby ten wstrętny łeb w gorący rosół. Niech ma, niech sparzy sobie ten swój idiotycznie i bezustannie węszący nocha, niech zatchnie się makaronem! Kanalia! Jak długo będzie jeszcze żał tę zupę?! Boże, nie do wytrzymania!

Uśmiechała się zmieniając talerze.

- Dziękuję, moja droga - powiedział, jak zwykle mdłym i beznamiętnym głosem.

Zatrzęsło nią.

- Jeszcze trochę, jeszcze trochę! - dudniło gdzieś pod żebrami. - Puszczę ci pawia na te ziemniaki, na serwetkę z monogramem i obsłizłe łapska!

- Cieszę się, kochanie, że ci smakuje - szepnęła przymilnie.

W myślach masakrowała mu twarz.

Przesuwała coś bezmyślnie przy garnkach, jak zwykle bezszelestnie, tak samo od tylu lat. Miała wrażenie, że puchnie od wewnątrz, czuła lodowaty ślad potu na policzku, smak soli w kąciku ust, wraz z tykaniem zegara dygotała każda komórka jej ciała. W głowie powracała uporczywym staccatem jedna, jedyna myśl, nie potrafiła wydostać się z jej rytmu - jestem, jestem, jestem. Jestem!

Drgnęła.

Ledwo słyszalny szmer. Do diabła, grzebie w wykałaczkach! No tak, zaraz zaczniesz wydłubywać marchewkę z zębów, dłużej dzisiaj, musi uważać przy nowej koronce.

- Zamknij pysk! - wrzasnęło w niej zaledwie ułamek sekundy wcześniej, zanim odgłos wysysanych z zębów resztek przydusił ją niemal do ziemi.

Wyprostowała się dziwnym, obcym ruchem. Krok do przodu, popchnięta dziwną siłą.

Uległa jej bez zastanowienia, nawet z uczuciem przyjemności, ręce poruszały się jak na sznurkach.

Tak. Jestem.

Na talerzyku resztki siekanej pietruszki, obok ciężki, szeroki tasak. Przetarła go uważnie czystą ściereczką. Nie znosił brudu. Podeszła do stołu. Odkładał właśnie na bok złożoną sześciokrotnie serwetkę.

W skupieniu obserwowała tasak, opadający z piorunującą szybkością na jego palce.

Tak po prostu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

al-szamanka, dodano 16.02.2013 09:47

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.